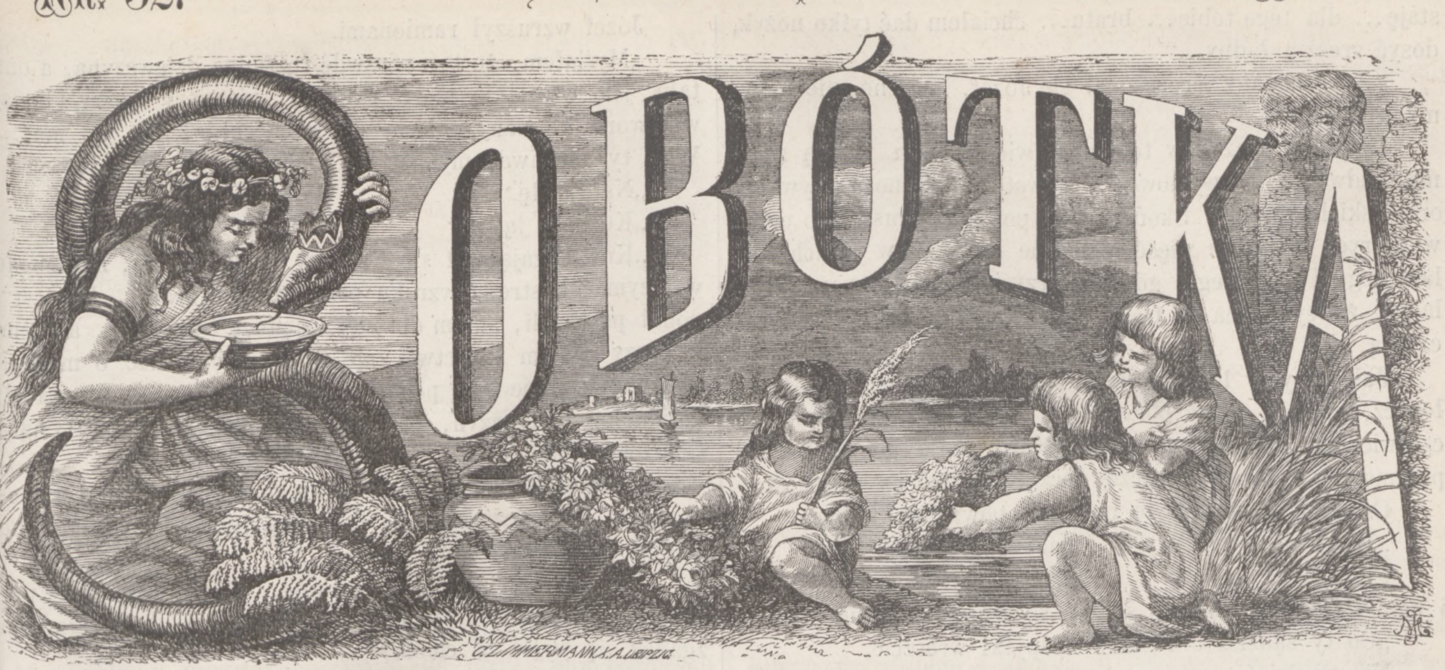
Nr. 32. Poznań, dnia 5. Sierpnia 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

PIĘKNE ZA NADOBNE
(HUMORESKA)

napisał

Władysław Sabowski.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Powziąwszy takie postanowienie, Czesław Duś musiał przemódz swoją naturę i przyjąć brata po bratersku.

Nie była to rzecz taka łatwa, jakby się na pozór zdawało. Człowieka, który nic nie ma, dla którego lada co wykwintniejszego jest już bardzo rzadkim przysmakiem, hołysza jednem słowem, co widział świata mało i byle czém żył, nie trudno pierwszą lepszą wykwintniejszą potrawą uraczyć, i jedną lub drugą butelczyną jakiéj takiéj lury wprowadzić w dobry humor, a nawet upoić. Z takim za to jak Józef Opałowicz, który zjeździł pół Europy, był człowiekiem zamożnym, bo się i sam dosyć dorobił i spory posag wziął za żoną, nie była taka łatwa sprawa. Trzeba się było pokazać, wystąpić.

Serce pękało Czesławowi na samą myśl ile talarów pójdzie na to, ale trzeba było koniecznie zaryzykować te talary, albo téż rozstać się z nadzieją doskonałéj partyi.

„Jak będę skąpił“, powiedział sobie, „to wszystko djabli wziąść gotowi... nie wezmę Pelasi i nie ożenię się... z kamienicą po Kahlbergerze.“

W dziwny sposób przestawiły mu się wyrazy, lecz nie zwrócił na to uwagi. Był człowiekiem zbyt praktycznym, żeby mu chodzić miało o piękność stylu, zwłaszcza téż w myśli.

Zaryzykował zatém kilkanaście talarów i przyjął brata przyrodniego tak wystawnie, że ten nie mógł wyjść z podziwienia.

„Co ci się stało, Czesławku“, zapytał go, popijając z trzeciéj już butelki wyborne wino, „ciebie chyba boginie odmieniły na mój przyjazd.“

„Mój kochany, gdybyś częściéj przyjeżdżał“, odpowiedział Czesław Duś, „tobyś się przekonał, żebym cię zawsze przyjął całem sercem.“

„A jednak... pamiętasz... kiedym cię prosił o pamiątkę po matce nieboszczce...“

Czesław nie dał mu dokończyć. Rzucił mu się na szyję i zaczął go ściskać.

„Mój drogi... mój kochany... mój serdeczny... tylko mi tego nie wspominaj, bo się wstydzę...“

„No, no, dobrze, już milczę...“

„Wstydzę się, chociaż mógłbym coś znaleźć na swoje usprawiedliwienie...“

„Ciekawym...“

„Oto widzisz... wiesz jak kochałem matkę... śmierć mi ją wydarła... musiałem się z nią rozstać na wieki... w takiéj chwili najmniejszy strzępek po niéj pozostały, uprzytomniał mi ją... rozstając się z czemkolwiek, co do niéj należało, zdawało mi się, że się z nią raz jeszcze roz-

stają... dla tego tobie... bratu... chciałem dać tylko nożyk, dosyć zresztą ładny..."

„Ale złamany", roześmiał się Józef, „no, no, nie mówmy o tém."

Czesław okazał w tém usprawiedliwieniu pewną zdolność adwokacką, wymowę, a nawet umiejętność używania oratorskich giestów. Skończywszy podniósł chustkę do oczu, w których było nie więcéj zapewne łez, jak w oczach Kalasantego Parnaskiego, gdy się przysięgał przed panną Pelagią, że syn Jana w Oleju był jego nieznajomym dobroczyńcą.

Jak wszyscy ludzie o krwi trochę gorętszéj, Józef Opałowicz, chociaż dosyć porywczy i łatwo się obrażający, był człowiekiem dobrego serca. Rozserdeczniła go téż bardzo przemowa Czesława i inaczéj zaczął patrzeć na niego.

Czesław spostrzegł to prędko i powiedział sobie:

„Wygrana... trzeba kuć żelazo póki gorące..."

Przeczekał jeszcze z kwadrans, racząc ciągle brata, i namyślając się z któréj strony szturm przypuścić.

„Co ty sądzisz o Pelasi?" zapytał wreszcie.

Nie wiedzieć czemu czoło Józefa namarszczyło się.

„Dobra dziewczyna", odpowiedział, „wierzaj mi... ja wiem co mówię... poczciwa dziewczyna... kilkanaście lat temu... ale... po co mi to wspomnienie!..."

Przerwał.

Czesława zaciekawiła ta wzmianka.

„Mój drogi", rzekł, „powiedz mi co to było przed kilkunastu laty... przed bratem przecież nie będziesz robił tajemnicy, a wierzaj mi, że mnie to obchodzi... ja szczerze sprzyjam Pelasi..."

Wino rozwiązuje języki. Opałowicz zdecydował się mówić.

„Przed kilkunastu laty", rzekł, „była chwila, żem myślał prosić matki, żeby mi pozwoliła z nią się ożenić."

Czesław podskoczył.

„A!... nie wiedziałem o tém", odezwał się dość niespokojnie.

„Powiedziałem sobie jednak, że nie mając majątku, nie powinienem brać biednéj dziewczyny... że powinienem najprzód czegoś się dorobić, a potém poprawić sobie los przez ożenienie się bogate..."

„Słusznie myślałeś", przerwał Czesław.

„Nie... byłem głupi... alem zrobił tak jak sobie powiedziałem. Dorobiłem się grosza, ożeniłem się bogato... i... nie byłem szczęśliwy... Żona z majątkiem wniosła mi do domu chorobę... od pierwszego roku po ślubie patrzyłem przez lat kilka na jéj powolne konanie... była przykrą i cierpką, bo była chorą... zostawiła mnie wdowcem z dwojgiem drobnych dzieci... gdybym się był pobrał z Pelagią, byłbym prawdopodobnie szczęśliwszy, a i jéj życie nie zwarzyłoby się i nie zwiędło."

„I tak jéj życie nie zwarzy się i nie zwiędnie... znajdzie męża."

„Ba!... czy go zechce?"

„Zechce i weźmie... choćby nawet takiego jak ja..."

„Co?... jak ty?..."

„Tak jest... powiedziała mi to wyraźnie..."

Józef wzruszył ramionami.

„Myślałem, że to naprawdę rozsądna dziewczyna, a ona taka jak wszystkie stare panny... pierwszy lepszy, bodaj w czworo złamany, niech się uśmiechnie, już ją ma!... Więc ty naprawdę myślisz się z nią żenić?..."

„Naprawdę."

„Kochasz ją?..."

„Ko..." zająknął się Czesław i spuścił oczy, nie mogąc wytrzymać bystrego wzroku przyrodniego brata. „To jest", dodał po chwili, „mam dla niéj szacunek i przyjaźń, a wiem, że przy mojém kalectwie nie wolno mi myśléć o miłości. Sądzę, że mnie nie podejrzewasz, że mam apetyt na jéj kamienicę i magazyn, przynoszący jakieś tam trzy tysiące talarów rocznie."

Józef w istocie w téj chwili nie podejrzewał brata o spekulacyę, ale odezwanie się Czesława było niefortunne, bo właśnie obudziło to podejrzenie.

„A! zapewne", rzekł, „zapewne... gdzieżbym ja cię posądzał. Powiedz mi jednak czy nie wiesz dla czego ona zgadza się wyjść za ciebie?"

„To dziwna kobieta", odpowiedział Czesław, „i jeżeli mam prawdę powiedzieć..."

„Mów prawdę... właśnie o to cię proszę."

„Otóż jeżeli mam prawdę powiedzieć, to nie bardzo pochlebnie mi wyraziła przyczynę i dosyć twardy postawiła warunek... Powiada, że gotowa iść za mnie, bo ją znudziły nadskakiwania różnych hołyszów, którzy patrzeć na nią nie chcieli, gdy była młodą, dla tego że była biedną, a teraz jeden przez drugiego starają się o jéj rękę... nie żąda miłości, tylko przyjaźni, boi się na starość być samotną..."

„Biedna dziewczyna!" z pewném wzruszeniem odezwał się Józef, „i jakiż ci postawiła warunek?"

„Dziwaczny... chce żebym jéj przedstawił kogoś, kto jest moim przyjacielem, kto doznał odemnie jakiéj przysługi."

„No... to znów nie tak trudne."

„Tak... ale na razie niezawsze możebne. Ja, nie chwaląc się, wielu ludziom świadczyłem dobrodziejstwa, ale kilku z nich wywędrowało do Ameryki, dwóch zginęło w ostatniéj wojnie, jeden utonął w Warcie, czterech umarło... tak że teraz nikogo podobnego nie mam pod ręką."

„O! to źle..."

„Ja téż widzę, że źle, i dla tego chciałem ciebie prosić, żebyś ty się podjął téj roli. Nie zrobiłem ci prawda nigdy nic dobrego, ale tylko dla tego żem nie miał sposobności... wszak jesteś przekonany, że gdyby była sposobność, tobyś się nie zawiódł na mém sercu. Pobożne kłamstwo nie obciąży ci sumienia... ona tobie uwierzy... uszczęśliwisz i mnie i ją..."

Józef słuchał w głębokiem zamyśleniu, niekiedy dziwnie spoglądając na Czesława. Ale milczał.

„Cóż, czy mogę liczyć na ciebie?" zaczął nalegać najmłodszy z jedynaków pani Agnieszki, „powiesz, żem ci oddał przysługę?..."

Opałowicz wstał, przeszedł się parę razy po pokoju, potém stanął przed Czesławem i rzekł:

„Tak jest... oddałeś mi największą w życiu mojém przy-

sługę... odpłacę ci pięknem za nadobne... powiem to Pelagii i słowem uczciwego człowieka zaręczę.“

Czesław z początku nie dowierzał. Sumienie nie mogło mu przypomnieć kiedy i jak zaskarbił sobie wdzięczność brata, któremu za to, że się zrzekł dla niego swéj części po matce, nie chciał dać nawet szklanki rzniętéj na pamiątkę. Niepokój go jakiś przejmował, ale poważna twarz Czesława rozproszyła jego obawy.

„Człowieku!... każ, a padnę ci do nóg“, zawołał.

„Nie potrzeba“, dość sucho odrzekł Opałowicz, „spełnię tylko mój obowiązek... jutro pójdziemy do Pelagii.“

„Powiedz mi jednakże, mój drogi, jakie to dobrodziejstwo ja ci wyświadczyłem.“

„Największe w życiu powtarzam... dowiesz się bliżéj jak czas przyjdzie.“

(C. d. n.)

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Znaczenie wody w życiu narodów.

Czy czytelnicy Sobótki zechcą czytać rozprawkę o wodzie? Wszak to rzecz tak ogólnie znana, tyle rozpowszechniona — że aż wcale na nią uwagi nie zwracamy. Zwykle bowiem najmniéj znamy to, co nas najbliżéj, pod samą ręką się znajduje; przywykamy łatwo do rzeczy powszednich i powtarzamy: nie warto mówić już i myśleć o tém.

A jednakowoż jest mnóstwo rzeczy powszednich, które właśnie dla swego spowszednienia nie zdają się być godnemi uwagi, a z których nie tylko wiele nauczyć się można, ale których obserwacye jeszcze sprawiają przyjemność. Do tych rzeczy należy i woda.

Nie będę tu mówił o chemicznym składzie wody, o tém w jakich stósunkach pierwiastki tworzące ją się łączą, ani téż o wpływie wody na ukształtowanie naszéj ziemi, na nieustanne zmiany jakich się ona obecnie jeszcze staje przyczyną. Toby nas zbyt daleko od założonego tematu odprowadziło.

My, jako naród głównie rólniczy, przedewszystkiém patrzymy na wpływ jaki wszystkie żywioły wywierają na rólnictwo, na produkcyę roślin, od któréj zależy dobrobyt indywiduów i państwa, jednostki i ogółu.

Ale i nad tém rozwodzić się nie będę, jakim sposobem woda wnika we wnętrze roślin, a nawet i zwierząt i człowieka, i jaką ona to ożywczą rolę odgrywa.

Musiałbym całe tomy napisać, których treść miałaby wielkie znaczenie dla nauki rólniczéj, a nawet dla ogółu przyrodniczych nauk, lecz dla niezajmujących się specyalnie temi naukami byłaby to znów — strawa ciężka, niesmaczna a piszącemu dla czasopisma poświęconego bellestrystyce, nie wolno traktować o takich przedmiotach, pod karą — znudzić czytelnika i nie być czytanym.

Zabierzemy się zatém do innéj strony, do strony również ważnéj, lecz która nam pozwoli łączyć piękne z użytecznem; tą stroną jest wpływ wody na dobrobyt narodów.

Pierwszym warunkiem bytu narodu jest uprawa roli. Od niéj też właściwie rozpoczyna się cywilizacya, bo ludzie, póki się zajmują hodowlą bydła, póki są nomadami (pasterzami), narodu nie stanowią. Są to familie, szczepy, hordy, ale nie narody.

Gdyby się gdziekolwiek mógł utworzyć jakiś rodzaj związku samych fabrykantów, utrzymujących się bez wszelkiéj uprawy ziemi, bez wszelkiéj produkcyi zboża, nie wiem czyby to był naród, mający równe zwyczaje, obyczaje, jeden język i to gorące przywiązanie do tego zakątka ziemi, na którym siedzi.

Wszakże by to był tylko nowy rodzaj koczowania. Pókiby ruda w ziemi i kamienny węgiel wystarczał, człowiek by pozostał na tém miejscu. Po wyczerpnięciu rzuciłby je bez żalu, bo go nie skropił swym własnym potém, bo go z niém nie łączy nieustanna praca. To byłoby zbiorowisko — kosmopolitów.

Rolnictwo jednak bez wody jest niemożliwém. Za jéj to pomocą materya zużyta przerabia się na nowo na przedmioty potrzebne i użyteczne, przyczém, żeby zbytecznie nie specyalizować, wspomnimy tylko o materyach zużytych przez ludzi i zwierzęta, zamienionych w nawóz, bez którego produkcya zbóż i warzyw jest w ziemiach od dawna uprawianych, niemożliwą. Nawóz zaś bez wody (i powietrza) nie rozkłada się i do roślin nie wnika. Tylko w krajach, w których człowiek zaniedbuje uprawy, gdzie się spuszcza z założonemi rękoma na łaskę Opatrzności, tam ziemia się skutkiem uprawy wyczerpuje i tam téż obawiać się należy upioru przeludnienia.

Gdzie zaś ludzie pracują rozumnie, używając siły natury na swoje dobro dla produkcyi rolniczéj, tam przeludnienia obawiać się nie potrzebują. Przykładem tego są przeważnie rolnicze kraje: Chiny i Japonja, w których produkcya jest równo postępująca, zdumiewająco wielka i mimo to, że ich ludność coraz wzrasta nie obawiają się tam przeludnienia Klimat nie może być wyłączną tego przyczyną, gdyż klimat wspomnianych krajów w ogóle nieznacznie się różni od naszego.

W rzeczy samej też nie natura stanowi różnicę. Człowiek w licznych warunkach swego bytu raczéj przeciw naturze niżeli z nią postępować musi. Przez walkę z przyrodą zdobywamy sobie byt. Deszcz i pogoda, burza, śnieg, mróz i ciepło działając na przemian, tylko by niszczyły dzieła rąk naszych, pustosząc przytém nielitościwie nasze pola, ogrody i łąki. Nasza siła leży w kierowaniu siłą przyrody.

Tajemnica urodzajności ziemi w starodawnych i nowożytnych czasach leży w ekonomii wody, w regularnym, systematycznie kierowanym przypływie i odpływie wody, pod strażą i podług woli człowieka.

Pomiędzy obecnie istniejącemi narodami pod tym, jak i pod wielu innemi względami, odznacza się francuzki, któremu nawet wróg nie może zaprzeczyć wielkiego genjuszu.

Jeszcze z dawnych czasów istnieją w południowéj Francyi znaczne kanały do nawodnienia. Nowoczesna Francya wychodząc z tych starożytnych swych urządzeń, a mając przykłady w Egipcie, który zbadano w czasie ekspedycyi Bonapartego (późniejszego cesarza), zabrała się do badań i prac, które się obecnie już po całym kraju rozciągają, a które może ostatnia nieszczęśliwa wojna chwilowo przerwała, lecz nigdy na zawsze nie zatamowała.

Prawodawstwo nowoczesne Francyi pod względem użytkowania z wody, jest doskonałe i głównie ma na celu podniesienia rolnictwa, które ma niezmierną przyszłość w tym kraju i ze zdumiewającą szybkością się tam rozwija.

A może téż czytelnik ciekawy wiedzieć jakie to są potrzebne prace, aby się człowiek stał panem wody, bo u nas dotąd nic nie zrobiono, żeby dać wyobrażenie o tém, i owszém jeszcze w tym roku widzieliśmy, że woda panuje nad człowiekiem, że mu, jakby była jego największym wrogiem, szkodę wyrządza.

Robót jest bardzo wiele. To trzeba groble sypać, szluzy budować, większe i mniejsze stawy wykopać, dla zbierania w nich wody z deszczu i śniegu; to znów trzeba kanały i rowy rozmaitych rozmiarów poprzeprowadzać, żeby téj wodzie dać regularny, od woli człowieka zawisły odpływ, lub téż zmusić ją tłoczyć się przez podziemne rury tam, gdzie ona naszym celom, użyznieniu roli, służyć może.

Ileż to do tego potrzeba prac, studyów, pomiarów! A wszystko to zrobiło się we Francyi, która celem ujęcia w karby wody, zrobienia z niéj służebniczki, jest pokryta siecią stacyi obserwacyjnych, jak żaden inny kraj Europy.

Z wykończonych prac najznakomitszą jest sieć kanałów rzeki Durance blisko Marsylii. Woda téj rzeki jest nieustannie mętna, prawie przepełniona mułem. Lecz właśnie ten muł jest bardzo wyśmienitym środkiem użyznienia pól i dla tego wykopano jeden kanał przy drugim, aby wodę rzeki rozprowadzić w rozmaite kierunki przez pola i łąki, do Vaucluse, Avignon, Carpentras, Arles, Tarascon i Marsylii, dokąd przybywa prawie czysta. Kanały te jeszcze datują się z dwunastego stulecia. Późniéj wykopano inne jeszcze, a wszystkie idą obok siebie i nad sobą i pod sobą, celem czego są założone kamienne rynny jakby mosty lub podziemne rury.

Kto widział przecudne łany, pyszne winnice, bujne łąki i bogate ogrody owych okolic, których grunta z natury wcale nie bogate, ten pojmuje siłę człowieka i ważność wody w ekonomii, jako środka wzbogacenia narodów.

Wodą dzielą się tu podług starodawnego zwyczaju i prawa. Włościanin bierze ją w dzierżawę od rządu, lub od prywatnych towarzystw, a rozumie się, że cena stósuje się do tego, w jakim stopniu woda zawiera szlam.

Właściwy kanał marsylski jest nowy, skończony w r. 1850. Zanim wodę swą oddaje polom i łąkom, porusza on liczne młyny, i takim sposobem woda niejako się filtruje i jako tako oczyszczona do Marsylii przybywa, które to miasto dawno cierpiało niedostatek wody; obecnie jéj ma w dostatku.

W Lotaryngii nad brzegami Mozelli zakłady są nowszego pochodzenia. Lecz i tam, poniżéj Epinal, gdzie rzeka sobie przywłaszczyła szorokie kamieniste łożysko, przez które fale swe rozlewała na wiosnę, zmuszono wodę płynąć w regularnie wykopanych rowach, z umiarkowanym prądem i pozostawiać na tym żwirze wszystek szlam, jaki ona z dalekich okolic zabrała. Skutkiem tego, od r. 1827 do 1847 zrobiono 3200 morgów najpiękniejszych łąk, których przestrzeń z każdym rokiem się powiększa.

Zapewne czytelnik ciekawy, ile też szlamu przypływa z wodą rzek. Nie mogę powiedzieć, ile tego szlamu z Krakowskiego zabiera nasza Wisła, ile go bez korzyści dla nas przynosi nasza Warta; tu ni swój ni cudzy jeszcze o to się nie troszczył. Natomiast mogę powiedzieć, ile go zawiera Sekwana i Marna, rzeki, których woda stósunkowo jest czysta. Te dwie rzeki poniżéj Paryża prowadzą z sobą każdego roku około 230,000 kubicznych metrów szlamu, którą to masą nasz Rynek do wysokości 80 stóp napełnić by można.

Mała zaś rzeczka Var, koło Nicei, uprowadza z sobą 12 milionów kub. metrów, coby wystarczało do zasypania 53 takich jak nasz Rynków.

Obecnie już tak Sekwana i Marna, jako i Var muszą płacić haracz. Nad kamienistemi brzegami pierwszych już są łąki nowo utworzone, wartości 20 milionów franków.

Najsmutniejszą okolicą całéj Francyi jest Solonia; piasek, żwir i piasek — okolica śmierci. Jeszcze przed ostatnią wojną rozpoczęto tam podług obszernego planu nawodnienie, które po upływie pięćdziesięciu lat z téj pustyni zrobią jeden rozległy ogród, jedną przecudną łąkę.

Nasi Polacy, którzy odbyli w nieswoim interesie ostatnią kampanię, nie mogą się nachwalić piękności Francyi i bogactw tego kraju. Wszystko to zawdzięcza naród ekonomii wodnéj zaprowadzonéj w kraju, który słusznie kiedyś nazwał niemiecki cesarz perłą wszystkich państw Europy.

Lecz na to, aby taką ekonomię zaprowadzić we Francyi, potrzeba było jeszcze wielu innych urządzeń. Mianowicie trzeba było sypać liczne, olbrzymie groble, za pomocą których zaparto wodę w dolinach, już to większych, już mniejszych, w których zbyteczną wodę zbierać można w czasie roztopów lub ulewnych deszczy, skutkiem czego ona nie może gwałtownie rzucać się na równiny i niziny i w nich zrządzać spustoszenia. Groble te po części są olbrzymie, godne podziwienia. Największą z nich stanowi mur, powyżéj miasta St. Etienne nad rzeką Furens. Mur ten ma 157 stóp wysokości, jest niesłychanéj grubości i zamyka kotlinę skalistą, z któréj przez to utworzył się staw obejmujący 1,600,000 kub. metr. wody.

Prace tego rodzaju wzbogacają Francyą i robią z niéj kraj z nieprzebranemi skarbami.

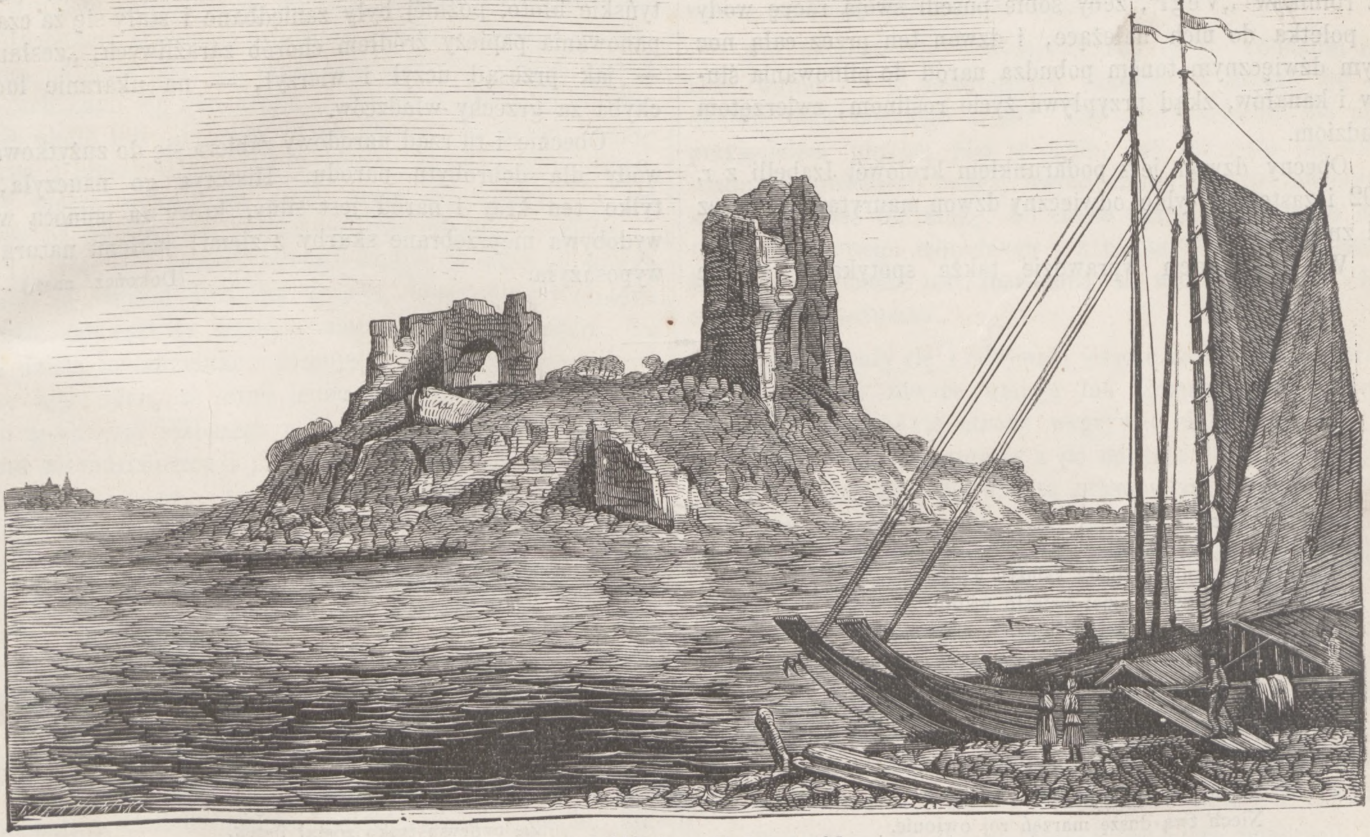
W Anglii, tyle pod innym względem przedsiębiorczéj, prace mające na cel zhołdować wodę dla rólnictwa są mniéj znaczne, i te, które do tego czasu wykonane zostały, jeszcze historyi nie mają. Zaledwie że są rozpoczęte.

Godném uwagi jest to zjawisko, że w okolicach chłod-

niejszych, nierównie więcéj wody potrzeba dla napawania ziemi, niżeli w okolicach z gorętszym klimatem. Badania naukowe wykazały, że ciepło ziemię bardziéj rozkłada, skutkiem czego ona też sama już roślinom więcéj pokarmów dostarcza, niżeli to ma miejsce w okolicach z zimniejszym klimatem. W północnéj Francyi potrzeba 8 — 9 razy tyle wody, zawierającéj równą masę szlamu, niżeli w południowéj.

Przejdźmy do kraju niegdyś kwitnącego i potężnego przez przemysł i handel, a w którym one upadły pod ciosami nierządu i głupoty; przejdźmy do Hiszpanii. Ona bogactwo; dzięki temu systematowi Hiszpania cała była jednym cudnie pięknym ogrodem.

Dopiéro po zdobyciu Grenady przez szaloną parę królewską Izabellę i Ferdynanda, i przez rządy idioty Filipa II oraz jego ojca tępego umysłu Karola, zajętych innemi rzeczami, niżeli dobrobytem narodu, wielka liczba kanałów szlamem zatkała się. Kraj też w miarę tego ubożał i naród hiszpański, jeden z pierwszych niegdyś w Europie, zaważył wreszcie tyle między narodami, jak rzeczpospolita Andorra, leżąca na południowym stoku Pyreneów. Dziś on ledwie że nie jest przedmiotem pośmiewiska.



Brzegi Wisły. Bobrowniki.

to jest klasyczną ziemią ekonomii wody, wyczerpnięta po części, mianowicie w środku, gdzie się znajduje wzniosła równina Madrytu. Tu sięga urządzenie zużytkowania wody dla produkcyi rolnéj niepamiętnych, może nawet przedhistorycznych czasów, a Maurowie troskliwie się rozwojem wszystkich dotyczących tego przedmiotu urządzeń zajmowali.

Za czasów panowania Kartagińczyków i Rzymian istniały już na półwyspie znaczne kanały rozprowadzające wodę po polach i łąkach. To pokazuje się z istniejących jeszcze praw. Ostrogotowie pielęgnowali te zakłady, a Maurowie je znacznie rozprzestrzenili. Temu systematowi kanałów nawadniających cały kraj zawdzięczał on swój rozkwit, swoje

Dopiéro od niedawna wzięto się do odreparowania szkody. Nawet spodlona dynastya, niedawno z Hiszpanii wypędzona, musiała się zwrócić do staréj kraju tradycyi, do budowli kanałów, na co Kortezy w roku 1865 pozwoliły kredytu 7 milionów talarów, a w roku 1866 wydano nader ważny „statut o wodzie“.

Schodząc z Pyreneów, z daleka już słyszy wędrowiec huczenie, ciężkie dychanie wychodzące z piersi olbrzyma. To jest pracująca „Noria“, koło z czerpakami, podnoszące wodę do znacznéj dosyć wysokości dla nawodniania wysoko położonych miejsc, a że to słowo pochodzi z arabskiego (al naurah, naara, ciężko oddychać), nie ma też wątpliwości,

że ono przez Arabów zostało wprowadzoném do Hiszpanii, jak również nie ulega wątpliwości, że i oni od innych odległych przestrzenią i wiekami ludów nauczyli się tego rodzaju nawodniania.

W równinie Madrytu obecnie buduje się kanał Lozoya, który ją zamieni w „Huertę“ t. j. w ogród podobny do prowincyi Valencii, Murcii, Valladolid itd., które to okolice są prawdziwemi ogrodami. A Grenada, owa sławna Grenada ze swoją Alhambrą, z tym dziwnym pałacem, który „Kraj ozdobiły i harmoniami napełniły jak sen złoty“, piękna nad wyraz i bogata jeszcze mimo ruin, jakiemi je napełnił fanatyzm, całą piękność swoją, całe bogatwo zawdzięcza wodzie rzek Xenil, Monachil i Darro, która rozprowadzona po całéj prowincyi, użyznia ją i piasczystą z natury okolicę w jeden ogród zamienia. Słyszy Czytelnik trzy, cztery, pięć rytmicznych uderzeń wielkiego dzwonu z wieży zamku, gdy słońce się zabiera do spoczynku! To jest znak dla rolników „Vegi“, żeby sobie puścili swoją racyę wody na poletka do nich należące, i dzwon ten przez całą noc swym dźwięcznym tonem pobudza naród do pilnowania śluzów i kanałów, zkąd przypływa życie roślinom, zwierzętom i ludziom.

Obecny dzwon jest podarunkiem królowéj Izabelli z r. 1492 i zastępuje tylko odwieczny dzwon maurytański, przez lud zniszczony.

We Włoszech wprawdzie także spotykamy się ze znacznemi kanałami i wodociągami, lecz one dawnemi czasy służyły zbytkowi, a nie produkcyi, nie potrzebom rolnictwa. Rzymianie znali ważność urządzeń, których cel nawodnienie pól, łąk i ogrodów, lecz zaniedbali je w miarę jak uprawa gruntu przeszła w ręce niewolników. Kiedy państwo rzymskie w roku 529 po założeniu miasta liczyło 770,000 obywateli, w dwieście lat późniéj miało ono tylko 450,000, z których jeszcze 320,000 kosztem skarbu zboże dostawało, chociaż terrytoryum państwa znacznie przez ten czas urosło. W północnéj części kraju, w przerzynanéj kanałami Lombardyi, kanały początkowo raczéj były wykopane dla zapobiegania powodziom, niżeli dla użyzniania gruntów; wszakże w późniejszych wiekach połączono jeden cel z drugim, i dla tego Lombardya jest ogrodem. „Fossa Claudia“, fossa Augusta“ i „fossa Hadriana“ także służyły do osuszenia gruntów, lecz nie do ich nawodnienia w czasie upałów.

Wszakże bogate za czasów Etrusków Maremmy i pontyńskie błoto, późniéj były zaniedbane i stały się za czasów panowania papieży źródłem chorób zaraźliwych, „zesłanych — jak przesąd uczył i wierzył, — na ukaranie ludzi“, chyba za grzechy władzców.

Obecnie i tu rząd narodowy zabiera się do zużytkowania wody dla dobrobytu narodu. Historya go nauczyła, że tylko ten kraj i naród jest silny, który za pomocą wody wydobywa nieprzebrane skarby z ziemi, jakiemi natura go wyposażyła.

(Dokończ. nast.)

NENUFARY.

Gdy na niebo blady księżyc wpłynie,
I srebrzyste rzuci światło wkoło,
Gdy w samotnej zadumań godzinie,
Cieniem trosek zachmurzysz twe czoło,
Rzuć spojrzenie na przeszłości tonie,
Gdzie wspomnienia biały kwiat zapłonie!

Ty wróć sercem w lata upłynione,
Niechaj łza pokoju ci nie kłóci,
Niech twą duszę marzeń rój owionie,
Gdy w młodości dni szczęśliwe wróci,
I wspomnienia otoczona czary,
Nie przeklinaj zgasłe złudzeń mary!

Nie przeklinaj, chociaż życie tobie
Złoty szczęścia wygasiło promień,
I przechowaj w serca twego grobie
Wonny wieniec twych różanych wspomnień,
I jak lilii śnieżyste kielichy,
Niech się schyli nad nim anioł cichy!

Ty się nie skarż, że świat marzeń wszystek,
Burzą losu rozproszony srogą,
Ze cyprysu tylko został listek,
Z którym idziesz dalszą życia drogą,
Zawsze wspomnień wodna lilia biała,
Twojéj duszy będzie przyświecała!

Więc nie zrywaj kwiecie lilii smutne,
Niech samotnie na dnie serca płonie,
Lecz w tęsknoty godziny okrutne,
Spojrzyj w ciche przezroczyste tonie,
Wtedy postać wodnéj lilii białéj,
Wskrzesi w duszy zgasłe ideały!

URIELA.

Ustronie w Czerwcu.

LISTY Z SYBERYI.

(Ciąg dalszy.)

Szeroka, olbrzymia, choć jeszcze nie głęboka Lena płynie tu między skalistemi, prostopadle jak ściana wznoszącemi się brzegami, składającemi się z gliniastego łupka, którego żółty kolor dziwnie się odbija w Lenie, w któréj czystéj wodzie widzi się także lazurowe niebo, z obłoczkami i chmurkami wyparowanemi z drzew-olbrzymów Tajgi oraz ciemno-zielony kolor cedrów, modrzewiów, sosien, jodeł i świerków, wznoszących się nad kamienną podstawą i sięgających swemi wierzchołkami obłoków. Niekiedy te ściany nawet nad drogą się schylają i człowiek tu podziwia mistrzynią przyrodę, która taką masę skalistą umiała zbudować i tak utwierdzić, że się nie wali na drogę i nie robi jéj nie przebytą nawet dla sarny i dzikiéj kozy.

Wszakże zajedziesz do miejsca, którego widok już z daleka dreszczem przejmuje człowieka. Ściana prawego brzegu, wysoko na jakie pięć lub sześć sążni, mocniéj jak w innych miejscach chyli się nad drogą, a na téj z pionu wychylającéj się skale leży ogromna bryła gliniastego łupku, nieregularna i niekształtna, jak ją kiedyś wściekłe fale pierwotnego morza urwały od góry, może nie dalekiéj, a lód zaniósł na miejsce, na którém się ona obecnie znajduje.

To tron — szamailskiego boga, w którego wierzą burjaci na wschód Irkutska żyjący, kiedy ku południowi Irkutska zamieszkałe szczepy należą do sekty dalaitów. Tu ludzi dzielą metafizyczne, niepojęte, w pewne kryształowe formy ujęte idee, za które jeden drugiego prześladuje, za które mocniejszy słabszego nawet na stosie gotów ofiarować swemu niewidzialnemu i niepojętemu Bogu.

Ten tron boga — ta dzika skała, w dzikiem otoczeniu, dobitnie świadczy o prawdzie zdania, że natura, człowiek i bóg, którego on w Syberyi wyznaje, nawzajem się uwarunkowują, że są od siebie zawisłe i na siebie oddziaływają. Jaka natura — taki człowiek, — tak i jego bóg. Natura okolicy, w któréj się z czytelnikiem znajdujemy, jest dziko-romantyczna, przerażająca; burjat jest dziki również, a jego bóg dziki, przyjmujący ofiary z koni i kozłów nie mniéj dziki być musi i ograniczony, jak jego czciciele.

Bogowie greków, tak wysoko cywilizowanych, do czego znów natura Hellady szybko dzikie szczepy usposobić musiała, byli ludźmi, idealni wprawdzie, ale tem nie mniéj ludźmi, z wszystkiemi cnotami i wadami ludzi, i kłótnie, i intrygi miłosne i zazdrość tak poruszały mieszkańców Olympu, jak burzą spokojność śmiertelnych. Lecz Grek miał poczucie piękna, i on nie byłby nawet wziął bryły téj na któréj burjaci marzyli swego boga, na piedestal dla swoich bogów, którzy, gdyby byli natchnieni życiem, byli zeskoczyli ze swych piedestałów, by zginać kolana przed tym, który ich postacie wykuł z twardego marmuru i nadał formy, dziś jeszcze podziwiane, a które naśladować najpierwsi sztukmistrze naszych czasów uważają za ostateczny cel ich życia i całéj sztuki. Nie jedna też mitologiczna powieść jak n. p. wznoszenie się bogini Tetys na Irydzie, dała początek innéj, któréj jeszcze obecnie Europejczycy wierzą.

Legenda o téj nieforemnéj bryle jest, — o ile o niéj się mogłem dowiedzieć — następująca.

Bóg sam, własnoręcznie zatoczył tę bryłę w tę okolicę i z tego przez siebie wzniesionego tronu światem rządzi. Wierny jemu burjacki naród tu powinien gromadzić się, składać hołd i przynosić ofiary przez ręce świętobliwych szamanów, którzy — jako zwierzchnicy — są powiernikami tajemnic boga, z nim mają bezpośrednie stosunki, kiedy inni śmiertelnicy nie są tego godni. Szamani są jednocześnie ofiarnikami, nauczycielami, lekarzami, prorokami i cudotwórcami narodu. Że ci szamani dobrze umieją wyzyskiwać swoje stanowisko na dobro swoje i swojéj kasty, że to zwykle się dzieje, gdzie masa nieoświecona ślepo im wierzy, rozumie się samo z siebie.

Nie mógłem się dowiedzieć, dla czego kobietom nie było wolno — w dawniejszych czasach — zbliżyć się do okolicy tego boskiego tronu. Czy bóg burjatów był nieprzyjacielem pięknéj płci w ogóle, czy też tylko nie lubił wcale niepowabnych twarzy swych czcicielek, to tajemnica, któréj objaśnić nie mogę, bo chyba szaman sam jeden zna tajne myśli swego mocodawcy i z nieomylnością te ogłasza, których wiadomość jest zbawienną dla wiernego stada i korzystną dla szamana.

Tu odbywały się i odbywają jeszcze roki sądowe, i przebiegli szamani zawsze umieją tak tłomaczyć wolę swego boga, że — obydwie strony wygrywać muszą sprawę. Po wysłuchaniu bowiem sprawy i po odbyciu ofiary, natchnieni duchem tego, którego oni są prawowitym organem, rozstrzygają, że tak powód, jako i pozwany wnijść muszą na tron boga, z którego winny niechybnie spadnie, kiedy niewinny trzymanny ręką boga, znów szczęśliwie zejdzie.

Podobno jednak burjaci tak mało wierzą w ten cud czyniony dla sprawiedliwego, jak ja w niego wierzę, i skutkiem tego niedowiarstwa zawsze z sobą się godzą, będąc przekonani, że i sprawiedliwy jak niesprawiedliwy zleci ze skały i — kark skręci. Wolą zatém chudą zgodę niż tłusty proces, który jednak szamanowi zawsze korzyść przynosi.

Powiadają, że obecnie burjaci już nieco zmądrzeli, i ze swoim bogiem bardzo zgrabnie targować się umieją, co się odbywa w następujący sposób.

Wierzchowiec burjata, po śmierci swego pana, powinien być uwiązany do drzewa i na grobie zginąć z głodu, na miłą bogu ofiarę. Nie wiem jaką rolę odgrywa ten biegun, który z wiatrem w zawody iść może, na tamtym świecie; nie umiejąc bowiem po mongolsku, a mając wciąż tylko styczność z takimi burjatami, którzy niedokładnie mówili po rosyjsku, na wiele z pytań moich nie odebrałem dokładnéj odpowiedzi. To tylko jest pewne, że obecnie burjaci już przyszli do tego przekonania, że wszystko jedno, który wierzchowiec zmarłego padnie ofiarą, czy stary, który pasie się w tabunie (stadzie) w stepie, czy też młody, w ostatnich latach

życia zmarłego jeżdżony, a że jeszcze jest i ten dogmat, że koń który się urwał od drzewa i tym sposobem się ocalił, jest podarunkiem ich boga, osnuli na tém następujący targ ze swoją wiarą.

Starzy burjaci, nie zarażeni jeszcze radykalizmem, biorą najstarszego wierzchowca nieboszczyka, na którym jeździł będąc jeszcze dzieckiem może, i tego, nie mającego już żadnéj wartości, mocno przywiążą do drzewa, gdzie po niejakim czasie z głodu na cześć i chwałę szamaitskiego boga dokona żywota, poczém skórę jego bierze familia i zatknie na wysoką tyczkę przed domem, zasyłając co dzień za jéj pośrednictwem modły do swego boga.

Młodsza generacya, zarażona już radykalizmem, czyli do któréj światło już przebijać zaczyna, żałuje i téj staréj szkapy, która utuczona, wyborną daje pieczeń. Bierze ona zatém ostatniego wierzchowca nieboszczyka i przywiązuje go do drzewa — cienką nicią. Rumak czując głód i pragnienie, jednem szarpnięciem zerwie szpagat i lotem ptaka lub bystrością wiatru pędzi do tabuna. Podarek boga!

Szaman, jako pobórca niebieskiego podatku, z téj darowizny bierze cząsteczkę i tak bywa — koza cała i wilk syty.

Od czasu okupacyi kraju burjatów przez Moskwę, rząd stara się zaprowadzić swego kazionnego*) boga i swoją kazionną religią, zwaną zwykle prawosławną, na miejsce szamajskiego wyznania. Misyonarze, gorliwi o wiarę i kresty i pieniądze, namowami i groźbą, podarunkiem i batem starali się szerzyć tę kazionną wiarę, — która zresztą zawsze coś daje — i nieraz im się udało wpędzić całe stado niewiernych do rzeki, ryczałtem wszystkich ochrzcić, nadając im jedno imię „Iwan“ lub „Maria“. Do tego jednak było potrzeba silnego u burjata bodźca, a nim był: pół kirpicza czaju (kirpicz cegła, a zatém herbata prasowana, formy i grubości dachówki, ważącéj około dwóch funtów) i miedzianego krzyżyka na czerwonéj tasiemce. Kiedy jednak podług religijnego czasopisma „Strannik“ (Pielgrzym) wychodzącego w Petersburgu, burjat za każdy kirpicz czaju gotów jest, ile razy się to popowi podoba dać się chrzcić choć przez czterdzieści ośm godzin z rzędu, rosyjski rząd dbający o zbawienie dusz swych poddanych, i żeby im nie dać przyczyny do częstszego jak potrzeba chrzcenia się, nie daje już tego kirpicza czaju, a tylko mosiężny krest na czerwonéj tasiemce. Skutkiem tego téż przypadki przejścia do kazionnéj wiary są coraz to rzadsze, i rosyjskie niebo nie prędko się napełni świeżo nawróconemi burjatskiego pochodzenia mieszkańcami, mimo raportów podolskich i irkutskich misyonarzy, podług których, gdybyśmy im jak rząd rosyjski wierzyli, nie długo już, nie pozostałoby się w stepach ani jednego wyznawcy staréj wiary, choćby na lekarstwo na nudy szamajskiego boga.

Tymczasem widziałem jeszcze setkami powywieszane skóry końskie i koźle, co wyraźnie kłam zadaje raportom dekorowanych za „usierdie“**) misyonarzy.

*) Kazna = skarbiec rzędowy.

**) gorliwość.

Lecz opuśćmy to pole, napełniające goryczą myślącego człowieka, który widzi — że ludzie złéj woli nadużywają imienia Boga, mającego być Bogiem światła — że czystsze pojęcie Boga, praw i obowiązków człowieka, nieprzedrzeć się nie może przez tę skorupę ciemnoty i barbarzyńskiego bałwochwalstwa.

Drząc mimowolnie, przejedzie człowiek miejsce opisane, a którego minąć w żaden sposób nie można, gdyż z jednéj strony ściana, na któréj leży tron boga szamaitów, a z drugiéj Lena, drogę do tego stopnia ścieśniają, że tu dwa wozy minąć się nie mogą. Aż odetchniesz, gdy już przejechałeś to dziko-piękne miejsce, i jakoś machinalnie obracasz się i patrzysz czy — niebezpieczeństwo już minęło, bo ten, na którego by spadł ten olbrzymi tron, rozprysłby się na atomy. To nie tron ziemskiego władzcy, to nie tron strugany ręką ludzką, jakich już kilka upadło za naszéj pamięci bez szkody dla otaczających, a tylko dla tych, co na nich niby to z łaski Boga siedzieli; ale to tron zbudowany przez naturę, a na nim dziki bóg siedzi. Upadek takiego tronu — to katastrofa!

Zajęty takiemi myślami dojechaliśmy do Wiercholeńska. Jest to coś, co nie jest już wsią, a któremu jeszcze niezmiernie daleko by być miastem. Jest to coś jak wszystkie sztuczne utwory „po ukazu“ co to udawać się nie chce, dla tego, że nie znajduje się na swojém miejscu, lub mimo ukazu, nie ma dostatecznéj opieki wyższych władz krajowych. W Rosyi i Syberyi początek miasta nie stanowi nagromadzona z jakiéjbądź przemysłowéj potrzeby ludność, nie ważność strategiczna handlu, bo i ten ma swoje linie strategicznie dla niego ważne, lecz widzimisię jakiéj wysokiéj rządowéj figury, która nakreśli plan do — więzienia (tjurmy) i cerkwi. Więzienie i cerkiew — to zawiązek miasta, to embryon siedliska cywilizacyi, i ztąd to widzimy téż jaką ona jest w całéj Rosyi i w Syberyi. Żadna epoka cywilizacyi europejskiéj porównaną być nie może z obecną cywilizacyą Rosyi, nie wyłączając nawet smutne dla nauki średnie wieki, kiedy spierano się o najdziwaczniejsze rzeczy, często bezcelowe. Wieki te mają to charakterystyczne, że przynajmniéj na serjo, szczerze szukano prawdy, a jeśli jéj nie znaleziono, jeśli deptano ślepo po manowcach, to nie ze złéj woli, a dla braku środków do posuwania się naprzód.

W Rosyi rzeczy mają się zupełnie inaczéj. Tu są olbrzymie środki, o których nabywanie zresztą rząd swym organom trąbić każe na wszystkie wiatry, ale tych środków nie używają, a jeśli to z takiem wyrachowaniem, żeby broń Boże nie doprowadziły do celu, żeby nie miały w rezultacie postępu myśli, rozwoju ludzkości. Wyjątek stanowią chyba tylko matematyka, która despotyzmowi nie przeszkadza być despotyzmem, i — żłobkowane armaty, iglicówki, a może i kartaczownice i chassepoty.

Wieś Kaczuga leży na prawym brzegu Leny, tuż naprzeciwko końca drogi z Irkutska przez burjacki step. Droga ta jest jedyną arteryą handlową rozległéj okolicy, i po niéj nad Leną sprowadzają się zimową porą ogromne masy zboża i przedmioty handlu, które gdy rzeka z lodów się oczyszcza,

do Kireńska, Olikmińska i Jakutska się spławiają, bo ztąd nie tylko dowozi się wszystko to, co potrzebne jest mieszkańcom wspomnionych tak zwanych miast, oraz w półdzikim mieszkańcom Tajgi, ale nadto cały systemat kopalń złota w Olikmińskim okręgu tu nagromadza wszystko, co jest potrzebném dla wielkiéj liczby ludzi tam zatrudnionych. Prócz tego z Kaczugi także wychodzi — jak mi powiedziano — tajożna*) droga do Ochocka, po któréj na wjucznych koniach transportują się rozmaite artykuły handlu z ochotczanami, a może i z Kamczatką.

Mimo to jest Kaczuga tylko wsią, do któréj od niedawnego czasu zostało przeniesione „prawlenie mauzurskoj wołości“, skutkiem czego także i więzienie zostało zbudowane, a Wiercholeńsk 25 wiorst niżéj tego w handlowém znaczeniu tak ważnego punktu został przezwany powiatowém miastem, w którém jednak dotąd powiatowego sądu, ani téż miejskiéj policyi nie ma. Przynajmniéj tych dwóch tak ważnych instytucyi nie było jeszcze w 1866 r., jak również w owym roku nie było jeszcze i szkoły. Szkoła zresztą w Rosyi — to ostatnia rzecz, o któréj rząd i jego organa myślą; to już jest rzecz luksusu, przepychu, a pierwotne narody nie lubią zbytków. Tjurma i cerkiew — więzienie dla ciała i ducha, to fundamenta rosyjskiéj cywilizacyi, to przyszłość, za którą wzdychają panslawiści.

*) Od wyrazu tajga, las pierwotny.

Czyż my pójdziemy za ich śladem? Czyż i my kiedykolwiek zapragniemy téj jedności w nicości, tego panowania nad światem w niewoli indywiduów i ogółu, tego nowoczesnego chinizmu, w którym syn boży, a może sam bóg siedzi na tronie, a wszystko inne, co nie on, to — jego zwierzęta domowe!

Zdaje się że nie. Jak partya panslawistyczna doprowadzić nie zdoła do czarnego, paraguajskiego kosmopolityzmu, tak nas nie zaprowadzi zniechęcenie lub upadek ducha do nicości w panslawizmie. Będziemy żyć swojém życiem i dla siebie, i na to tylko potrzebna jest praca, praca umysłowa, praca fizyczna i zgoda, ale zgoda dla kraju, a nie dla podniesienia krucyaty celem podbijania narodów, chcących żyć u siebie życiem własném i chcących być ogniwem oddzielnym w łańcuchu ludzkości.

Te uwagi nastręczyły mi się przy widoku Wiercholeńska, figurującego na mapach jako miasto. Możemy to miasto opuścić, bo nawet — nawet więzienie i jego cerkiew nie przedstawiają nic godnego uwagi. We więzieniu — zbrodniarze bez znaczenia, których najbezpieczniejszy — barana ukradł; w cerkwi, osmalona „ikona“ ś. Mikołaja, przed którą pijany pop krzyczy: „hospodyn pomiłuj“. (C. d. n.)

ROZRYWKI WIEKU DZIECIĘCEGO.

I.

Z wami rodzice i przełożeni, chcemy dziś o rozrywkach waszych dzieci pomówić; ale wprzód zejść musicie z wysokości waszego wielkiego świata i zniżyć się do ciasnego kółka zabaw i roskoszy wieku dziecinnego. Świat dziecięcy na wzór świata waszego ma kwiaty i ciernie, roskosz i boleści, słowem jest miniaturą przyszłości. Zabawa dziecka jest wynikiem koniecznym czynności ducha jego i zarazem szkołą charakterów, szkołą w któréj kształcą się skłonności, występujące późniéj w człowieku jako wybitne jego znamiona. Ważne jest przeto dla rodziców i przełożonych zadanie, zapoznać się i baczyć troskliwie na to pole rozrywek wieku dziecinnego. Przypatrzmy się więc teraz zabawie małego bohatera i uwagi jakie nam ta zabawa nastręczy, udzielmy cicho sobie do ucha.

Oto pomiędzy tysiącem najrozmaitszych zabawek siedzi malec o jasnych kędzierzawych włosach. Znajdziesz tam wózki, konie, żołnierzy, wiatraki, ogrody, słowem wszystko co troskliwość rodzicielska nagromadzić zdołała. Biedne dziecko nie wie czem się wprzód zająć, czego się chwycić, bierze przedmiot jeden po drugim i... odkłada. Cóż przy tém zyskało? Zabiło czas, lecz umysł nic zgoła nie zyskał. Zbytek rozrywki rodzi w dziecku niepokój i nieuwagę, co się potém na ławce szkolnéj i w późniejszém życiu zawsze przebija. W szkole dziecko takie na krótki czas nawet nie chce uwagi na jeden przedmiot zwrócić, a gdy jest w biórze lub handlu, pryncypał przy każdém poleceniu dwa i trzy razy napominać musi. Dla dziecka stokroć jest zbawienniejsze gdy zabawki jego są ograniczone i tego rodzaju, że umysł trwale zająć potrafią.

Lecz idźmy daléj. Tam oto widzimy bal tańcujący dzieci. Nic tak na próżność, na zamiłowanie strojów i chęć podobania się nie wpływa jak tego rodzaju urzędowa zabawa, a ponieważ dzieci naśladują zawsze starszych, szukają więc na balu tego co i tamci, t. j. przygód miłosnych.

Nie sądźcie żebyśmy za czarno na to patrzyli. Doświadczenie prawdę słów naszych popiera. Nie jeden z naszych czytelników z doświadczenia własnego przekonał się, że dzieci po balach takich pisywały do siebie listy, zapraszały się na przechadzki, przechodząc tém samém całą szkołę miłostek. Co więcéj, tańczenie w gorącéj atmosferze sali, jest nader szkodliwe dla zdrowia dzieci i dla tego bardzo słusznie nazwano bale takie wstępem do tańca śmierci. Z zabawami podobnemi łączą się jeszcze inne rzeczy, sprowadzające przedwczesną dojrzałość. Takiemi są: bilard, karty, cygara i papierosy. Gdy z biegiem lat czas właściwy nadejdzie, w którym umysł i ciało dość mają siły by oddać się zabawom, jakże okropnie wyglądają ofiary przedwczesnéj dojrzałości! Po próbach w dziecińeach, wszystko co może być poetycznego i powabnego dla młodzieńca i dziewicy, straciło dla nich urok i jeżeli używają to tylko w połowie. Może nieraz zdarzyło się wam słyszeć rozmowę dwudziestoletnich młodzieńców narzekających na prozę życia i podnoszących wyrafinowane, zmysłowe roskosze. Z tąd to pochodzi, że młodzi potomkowie naszych rodzin, mierzeni wedle zniewieściałego typu, mają twarze gładkie, piękne, lecz bez śladu owego silnego rozwoju, jaki przystoi płci męzkiéj. Każdy z nich cienki, wysmukły, wygląda jakby zużyty na świat przyszedł. I nie może być inaczéj, bo zwykle się dzieje, że

zaledwie dziecko rzuci grzechotkę, chwyta za kij bilardowy, wprost od mamki idzie do metra tańców, a z kołyski pełza na salę balową.

Lecz rzućmy te obrazy i przejdźmy na inne pole. Patrzcie oto stoi dwa szeregi walczących dzieci. Bitwa się toczy zawzięcie, zapał się wzmaga i nie jedna kula ze śniegu trafia przeciwnika w głowę. Wielu w zabawie téj widzi niebezpieczeństwo i pewną dzikość. Co do nas my przekładamy ćwiczenia te siły nad inne rozrywki. Dają one dziecku świadomość siły, a ten tylko co się w téj świadomości ćwiczy, nabywa szczytnéj cnoty męzkiéj, którą nazywamy odwagą. Bo czyż myślicie, że odwaga zjawia się na rozkaz? Bynajmniéj. Są ludzie mający w ręku sposoby do czynów wielkich, a jednak dla braku odwagi nic zdziałać nie mogą. Od pierwszych dni życia sznurowano ich, tresowano i każdy objaw siły poskramiano tak, że duch się stępił a charakter osłabł. Uczucia pielęgnowane w młodości są podwaliną późniejszego charakteru. Patrzcie na Napoleona Wielkiego, kiedy był jeszcze uczniem w szkole Brienne. Kule ze śniegu świszczały koło uszu jego — on stał na stanowisku wytrwale i prawdopodobnie tam się nauczył w obec niebezpieczeństw późniejszych być nieugiętym. Gry ćwiczące siły, jeżeli nie grzeszą przeciw skromności są dla młodzieży szkołą cnót męzkich. Z biegiem lat i pracy światło w głowie dziecka się rozwija — w równym stopniu i siła postępować winna. Łatwiéj człowiekowi w pielgrzymce życia znaleźć przewodnika, niż z restaurować nogi i skrzydła, które mu w obawie ażeby nie zbłądził wcześnie obcięto. Że samodzielność i odwagę i w inny sposób pielęgnować można n. p. przez turnieje, jest tylko w małéj części prawdą; gdyż ujęte w formę nauki i przepisu ścieśniają ducha i wzbraniają rozwijaniu się samodzielnego działania. Niemniéj jednak i tego rodzaju rozrywka jest pożyteczną. W Anglii, we Francyi i w Niemczech przy każdéj szkółce, a nawet na placach publicznych dla użytku ogółu pourządzane są przyrządy do gimnastyki.

Idźmy daléj. Patrzcie oto gromadka dzieci wesoło igra po dziedzińcu. Jedni grają w szkołę, inni imitują księży, tamci w końcu naśladują magazyn z kupującymi i sprzedającymi. Wszystkie te rodzaje zabaw zdają się być niewinnemi. Są téż niemi rzeczywiście, lecz zarazem są ważną wskazówką na przyszłość. Każda z tych zabaw zdradza charakter i powołanie przyszłe dziecka. Każde dziecko tak jak i dorosły widzi się najchętniéj w roli do jakiéj czuje skłonność, która odpowiada usposobieniu i dziecęcemu jego ideałowi. W rolę te dziecko wżyć się stara tworząc sobie świat wymarzony i nader ponętny, bo bez stron ujemnych. Nie dziw więc, jeżeli skłonności przy zabawach podobnych wyradzają się w zawody, od których późniéj ani przedstawieniami, ani przymusem odwieść niemożna „Sam nie wiem z kąd to pochodzi“ mówi wtenczas młodzieniec, „że do tego tylko stanu czuję skłonność w sobie.“ Łatwa na to odpowiedź. Zabawy dziecinne były szkołą téj skłonności. Znany nam dobrze chłopiec pięcioletni bawił się zawsze w rzeźnika, a rodzice śmieli się z téj oryginalnéj zachcianki. Tymczasem mając lat 14 oświadczył z wielkim ich niezadowolnieniem (chcieli bowiem żeby się oddał kupiectwu) że nigdy innemu zawodowi się nie odda. Każdy rys charakteru jaki dzieci przy zabawach objawiają, pozostawia ślad w ich sercu, a jeżeli zabawa często powtarza, to późniéj staje się rzeczywistością. Dla tego troskliwie czuwać należy ażeby przy zabawach dzieci nie wkradły się złe skłonności i ażeby zawczasu usposobieniami ich pokierować tak, jak tego okoliczności wymagają.

Lecz cóż to słyszymy? oto dzieci rozwiązują zagadki. Małe ich główki silą się na wyścigi. Mamy więc zabawę umysłową, przy któréj odbywają się ćwiczenia mózgu. Któż by się z tego nie cieszył? Wprawdzie nauka przymusowa rozwija także umysł, ale nie wierzcie ażeby ona sama wszystkiego dokonała. Nie chcemy nic mówić przeciw metodzie nauczania będącéj dziś w użyciu, tyle jednak jest pewném, że myślenie nieprzymusowe jest przyjemniejsze, wygodniejsze a tém samém i pożyteczniejsze. Zabawek wspomaganych myśleniem jest wiele, a ponieważ przy nich zarówno rozum i fantazya są czynne, przeto jedno drugie wspomagając, skutecznie na duchową stronę dziecka wpływają.

Lecz i tych ćwiczeń umysłowych za daleko posuwać nie należy, bo ciało którem duch się podtrzymuje, ucierpiałoby na tém. Ciało i duch są to dwie siły stojące w ciągłéj z sobą równowadze. Dla tego téż natężenie fizyczne osłabia ducha i na odwrót.

Na zakończenie przypatrzmy się jeszcze jednéj grupie dziatek.

Śpiew wesoły:

„Daléj, daléj, daléj,
„By nas nie schwytali...

rozlega się po kwiecistéj łące a skaczące bezustannie nogi dowodzą swobody serc wesołych. Chodźcie tu wszyscy coście smutni i przypatrzcie się roskoszom tego życia; chodźcie tu pedantyczni bakałarze i nauczcie się co czynić należy by waszéj opiece dzieci powierzone rozweselić. Przy zabawach dzieci dar ich inwencyi jest często podziwienia godnym. Lecz na Boga nie mięszajcie się do nich, nie pouczajcie i nie poprawiajcie. Każdy wykrzyknik z ust waszych staje się lodem dla młodéj radości. Nie być prowadzonym na pasku, swobodnie skakać, toć to największa roskosz dziecka, któréj nawet siwym będąc nigdy się nie zapomina. Gdyby się nawet tu i owdzie zdarzyć miała niegrzeczność, nie proklamujmy zaraz stanu wojennego. Baczność jednak mieć należy, lecz tylko w razach obrażających przyzwoitość i szlachetność, w końcu w razach niebezpieczeństwa grożącego, interwencya starszych jest konieczną. Ktoby n. p. chciał wszystkie z drzewa strząsnąć chrząszcze, otrząsłby razem i kwiecia wiele. Ktoby chciał zapobiedz wszystkim zboczeniom dziecka nie przystającym do etykiety, zagłuszyłby zarazem wiele uczuć szlachetnych, któreby późniéj obfite i piękne wydać mogły owoce.

Przebiegliśmy w krótkości najważniejsze zabawy wieku dziecinnego. Może przytém niejeden z czytelników przypomniał wiek swój dziecinny i słowa nasze potwierdził — może nie jeden zwróci na to zadanie uwagę swoją, kierować będzie sposobem i przebiegiem zabawy, lecz w ten sposób by dzieci o tém nigdy nie wiedziały. Jeżeli tak jest słowa nasze nie minęły się z celem.

Po bożym świecie i w podziemiach Wieliczki.

Wyjątek z Pamiętników

Wincentego Pola.

(Ciąg dalszy.)

Kremer mieszkał wówczas w Galicyi i przybył na dni kilka tylko do Krakowa, ale Antoni Helcel zbierał już materyały do „Kwartalnika“ obrabiał ludzi i przysposabiał środki do nowych wydawnictw polskich.

„Czy będziesz współpracownikiem tego pisma panie Józefie?“ spytałem Kremera.

„Chciałbym“, odpowiedział mi zakłopotany, „ale nie wiem czy potrafię. Studya odbywałem za granicą i nie wziąłem nigdy pióra do ręki w zamiarze autorskim. Inna to rzecz nauczyć się czegoś, a inna wypisać się z myśli i uczuć swoich, zwłaszcza w przedmiocie filozofii, na którym polu nie pracowano dotąd u nas. Wyobraź sobie arsenał gdzie są składy prochu i kul, ale gdzie niema gotowych nabojów, kto strzelać potrafi i podtrzymać ogień bateryi choćby miał taki cały arsenał przy boku.“

„Ha! trzeba samemu sobie porobić ładunki.“

„Dobrze i łatwo ci to mówić, bo jesteś poetą i urobiłeś sobie własny język, nie wiem gdzie, kiedy i z czego, ale widzę, że go masz, lecz u mnie w umiejętności abstrakcyjnéj i w téj twardéj żelaznéj konsekwencyi pojęć heglowskich nie ma wyboru i swobody jaką ma poeta. Tu trzeba kuć twardo do miary i wagi każde pojęcie, bo bym nie wybrnął i zbłąkał bym się i sam w tym lesie i drugich bym w błąd wprowadził. Przyznam ci się, żem na naleganie Antoniego napisał nawet rozprawę, ale nie mam zaufania do téj pracy.“

„Nie święci garnki lepią“, rzekłem żartobliwie, „dawaj co tam masz! Jeżeli się można było odważyć po Mickiewiczu na śpiewanie żołnierskich piosneczek, to jeszcze się można odważyć po Heglu na rozprawę polską o filozofii niemieckiéj. Audaces fortuna juvat.“

Drżącym głosem począł mi tu czytać rozprawę swoją i gdybym go nie był wziął za honor artylerzysty z pozycyjnéj bateryi kapitana Nieszokocia, którego już poznałem na emigracyi w Saksonii, nie był by może doczytał rozprawy.

Rozprawę tę znajdzie każdy w Kwartalniku Helcla. Był to rzut oka na logikę Hegla i nią rozpoczął Kremer wykład jego filozoficznego systematu.

Podsłuchiwałem nieraz głosy natury, ale nie dosłyszałem nigdy jak trawa rośnie, lecz wiem od owego czasu jak się filozoficzne pojęcia rodzą i jaką furtką filozofia weszła u nas do literatury. W skutek nalegań Helcla i ja parę rozprawek musiałem napisać, które później w Kwartalniku umieścił, co więcéj, moje te właśnie rozprawy pierwsze z drukowanych po wyjściu pieśni Janusza, wywołały polemikę Pamiętnika powszechnego nauk i umiejętności, który stał w antagonizmie i w systematycznéj opozycyi z Kwartalnikiem. Wiosna najpiękniéjsza była już na świecie, serce wyrywało się na pola i lasy a ja ślęczyłem nad filozofią Hegla i zbiedniałem tak bardzo, że mnie nawet dobrzy znajomi czasem niepoznawali. Poetyczna wena opuściła mnie zupełnie, wiersza jednego nie napisałem przez te sześć miesięcy i osmutniałem bardzo, bo patrzyłem na moją własną przeszłość i na świat poetycznéj fantazyi jak na raj stracony.

Agitacya stronnictw nie politycznych jeszcze, ale pod pokrywką pismiennictwa już politycznéj natury, agitacya stronnictw mówię i filozofia zatruła mi życie. Wówczas przynosił mi uspokojenie tylko widok katedry krakowskiéj. Po nieszporze zwykle chodziłem na Wawel i przykładałem nieraz rozpaloną głowę, aby ją ostudzić chłodem marmuru grobowców.

Z położenia tego wyrwał mnie list pana Ksawerego Krasickiego, który mi do Krakowa przywiózł Mieczysław Darowski. Pan Ksawery wzywał mnie, abym powracał i osiadł na roli w dobrach jego górskich w okolicy uroczéj i oddalonéj od zgiełku świata, a warunki tego nowego stósunku w którym do mnie pan Ksawery stanąć pragnął, były tak jasno krótko i ludzko postawione, żem się nie wahał i chwili zrobić krok stanowczy w życiu.

Darowski miał jeszcze dni kilka zabawić w Krakowie, ale mnie parto odtąd abym jak najspieszniéj wyleciał z Krakowa. Pożegnałem tedy święte groby i zacnych ludzi, których tu poznałem, w przeciągu jednego dnia, a umówiwszy się z Darowskim, który jechał własnemi końmi w Sanockie, aby mnie z sobą zabrał wyjechałem jeszcze tego samego dnia do Wieliczki.

Przez most i rogatki przewiózł mnie w powozie poczciwy Józef Mączyński i odetchnąłem dopiero wolno gdy się powóz z górki na górkę toczył minąwszy Podgorze, a jakaś woń od brzegowych łąk Wiślanych ciągnąca powodzią ostudziła skronie i orzeźwiła duszę.

* * *

W okienkach dworku moich górników widać było światło, rodzice razem ze Stasiem udali się pieszo na Kalwaryą na odpust, Kazimierz był sam tylko w domu i siedział nachylony nad stolikiem i książką kiedym wstąpił do izby stołowéj.

Krótko opowiedziałem mu, com przez te kilka miesięcy robił i pytałem dla czego tak o mnie zapomniał, że mnie ani razu nie odwiedził w Krakowie.

„Mój drogi“ odpowiedział mi na to, „każdy z was ma swe zdanie i pracę, ty żyjesz poezyą, bo ci Bóg dał dar taki, że możesz nim obdzielać drugich — ja syn górnika muszę tego szukać pod ziemią czego Bóg na ziemi odmówił.“

„Mówili mi o tém strapieni rodzice twoi, że bałamucisz światem i szukasz pod ziemią tego, czegoś nie zgubił, a po Bożym świecie włóczysz się jak luźny człowiek. Dobrze to głupcom w oczy piaskiem rzucać, ale ze mną jak

ze starym przyjacielem mów szczerze i jasno, więc zapytuje się krótko, czy ty drwisz czy o drogę pytasz?"

Powstał na te słowa i spojrzał na mnie bardzo seryo, „Nie drwię, ale o drogę pytam."

„O jaką? do czego?"

„O drogę do królewskiéj skrytki w podziemiach Wieliczki, gdzie są ukryte skarby korony polskiéj."

„Słyszałem już od rodziców twoich o téj fiksacyi."

„Ależ to nie fiksacya mój drogi, wolno tak innym o mnie sądzić nawet rodzicom własnym, ale nie wolno tobie, mam dowody i dokumenta w ręku. Przechowuje takie papiery w kopalni, bo gdyby nie to, łatwoby mi było przekonać cię o prawdzie tego zeznania. Pytaj mnie o co chcesz postaw mnie na próbę, a przekonasz się że mam rozum zdrowy, powiem ci nawet więcéj, powiem ci że mi ta rola fiksata bardzo dogadza, bo gdyby uwierzono że mam rozum, gdyby ktoś popadł na ten ślad który mam w ręku, toby mnie nie puszczano do kopalni, a możeby mnie sprzątnęli ci co nam zabrali wszystko."

Widziałem że mówi rozsądnie i głosem głębokiego przeświadczenia o tém co mówi. Kazał mi dać słowo, że póki żyć będzie, ja o tém mówić nie będę, a że nie żyje zwolniony jestem od danego słowa.

(Dokończ. nast.)

BRZEGI WISŁY.

BOBROWNIKI.

(Z ryciną.)

„Polatuj myśli po niwach ojczystych,
„Powietrzem przodków oddychaj,
„Skąp wartkie skrzydła w falach Wisły czystych,
„Swemu się słońcu uśmiechaj.

Piękne widoki Krakowa i Warszawy, szerokiem półkolem rozsiadłych na wybrzeżu Wisły, są bezwątpienia najwspanialszymi z nadwiślańskich krajobrazów. Ale i inne jéj punkta są pełne powabu, tak dla tysiąca historycznych wspomnień, jak dla cudownéj nadbrzeżnéj panoramy, ciągnącéj się od stóp Wawelu, aż do Baltyku. Tu Wisła składa swe berło u stóp potężniejszego władzcy. Wandalskich wód królowa traci swe miano. W przeszłym numerze daliśmy czytelnikom rycinę przedstawiającą jeden z nadwiślańskich widoków — Bielany. Dziś oddalając się od tego punktu o mil kilkadziesiąt, podajemy widok miejsca mało znanego, lecz zasługującego na wspomnienia. Są to Bobrowniki, położone w Lipnowskiém, w dzisiejszéj gubernii Płockiéj. Sama nazwa przypomina rodzaj przemysłu, co to niegdyś u nas na wysokiéj stał stopie, a dziś śladu jego nie dopatrzysz. Powiśle było niegdyś ulubionem Bobrów siedliskiem, a Bobrowniki od nich nazwę wziąść musiały. Miasteczko samo, Władysław Opolski mając nadane przez stryja swego Ludwika Węgierskiego, sprzedał Krzyżakom. Od nich to początek biorą te sterczące mury, przypominające zamek ufortyfikowany, dający się odnieść do czasów Konrada Jungingena.

Bobrowniki dość długiem pasmem rozciągają się nad samą Wisłą, opierając się ramieniem o krawędzie lasu; mały, skromny kościołek wychyla się nad grupą domków, czerwieniejących w zieleni. Był tam niedawno jeszcze magazyn solny, jeden z głównych czynników tego biednego miasteczka, liczącego w ogóle z przyległościami 115 domów i około tysiąca mieszkańców. Za miastem, na wzgórzu piasczystem rozsiadł się kościotrup zamku, jak strzaskana lutnia barda, co niedośpiewał pieśni minionych lat. Z całego zamku, który już w r. 1789 przedstawiał tylko porysowane, do pół opadłe mury, słabe dziś pozostały ślady; cała rudera tworzy dwie grupy większe, jedna niby kopiec grobowy, druga niby arkada, łuk tryumfalny; to znowu jedna z owych licznych świątyń:

„Gdzie duchy mieszkać nie chcą, a ludzie nie śmieją."

Lud tam prosty opowiada legendę mającą ze starym zamczyskiem związek. Przed niedawnym czasem, kiedy jeszcze wieża w gruzy się nie rozsypała, miało pokutować w tych murach jakieś licho, które straszyło biednych ludzi. Był to człek jakiś rycerski, zbrojny, blady, z potarganym włosem; wychodził zawsze z wieży, zbierał rozsypujące się mury, wzdychał strasznie i bił się w piersi, szeroką blizną rozdarte; a raz słyszano jak mówił zbierając od murów gruzy: biada mi, biada, jam was zaprzedał...

Ten duch pokutujący na zwaliskach zamku, ten rycerz zbierający mury, ten grzesznik z sumieniem toczący walkę, nie kto inny jest, jak ów starosta bobrownicki, Wracisław Gortatowic, co to w r. 1409 haniebnie po słabym oporze poddał zamek krzyżakom i ten srom zadany szlacheckiemu klejnotowi, odpokutował potém w głębi zamkowéj baszty.

Szarada.

Trzecia czwarta lekarstwo, czwarte piąte bardzo,
Lecz drugie piąte jego użyciem nie gardzą.
Póki komu nieprzyjdzie wszystko pochwał warte,
Póty się piąte pierwsze drugie trzecie czwarte.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 31: *Kalendarze.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panu A. B. z C.: Wiersze p. t. „Do młodego poety" i „Polski ogródek" drukowane w Sobótce nie będą. — Pani T. Żmorskiéj: Na łaskawie przyrzeczone pamiętniki oczekujemy. — Panu Henrykowi T. w K.: Za przesyłkę dziękujemy, ale użytku z niéj zrobić nie można. — Panu Władysławowi Sabowskiemu w Krakowie: Pragnęlibyśmy wszystkie przyobiecane prace do Środy przyszłego tygodnia mieć w ręku. Jeżeli to możliwe, upraszamy o przesłanie. Resztę ustnie w Krakowie załatwimy. — Panu Dr. K. w Inowrocławiu: Opis pokładów soli otrzymaliśmy i zań serdecznie dziękujemy. Za dwa tygodnie umieścimy go w całości.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).